

Antoni Stąpor

Wspomnienia Janiny Urban z września 1939 r. i z czasów okupacji

Rocznik Kolbuszowski 5, 75-77

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Wspomnienia Janiny Urban z września 1939 r.
i z czasów okupacji*

Mój tata umarł w styczniu 1939 r. We wrześniu wybuchła wojna. To, co wtedy powiedziała mama, to było święte i wszystkie jej polecenia się wykonywało. Do szkoły chodziliśmy, a uczyło się przy pasieniu krów, oczywiście jak były uwiązane na sznurze. Trzeba się było uczyć, żeby być przygotowanym na lekcję w szkole, czy na religię. Po szkole musiałam pomagać mamie, trawy nazbierać, posprzątać w domu i na obejściu. Może to nieszczególne, co opowiadam, ani nieistotne, ale właśnie tak było. Taka była moja rzeczywistość. Specjalnie czasu na naukę nie mieliśmy, ale każdy się starał drugiemu pomóc, żeby to życie było lżejsze, przyjemniejsze i przede wszystkim przebiegało w zgodzie. Człowiek człowiekowi nie był przeciwny. Była zgoda, zawsze i wszędzie. Do szkoły, kościoła i na wycieczki chodziliśmy parami. Śpiewało się przy tym pieśni. Na rozpoczęcie i na zakończenie religii odmawialiśmy paciorek. Wychowanie było bardzo dobre. Dzieci nie robili sobie przykrości i nie dokuczały sobie. Podczas wakacji na stadionie organizowane były półkolonie dla sierot i dzieci ubogich. Brałam w nich udział i wspominam je z wielkim sentymentem. Panie nauczycielki Iwaszkówna i Irena Morawska były troskliwe i uczyły nas różnych ciekawych zabaw i grzecznego, z szacunkiem traktowania innych, w szczególności dorosłych. Nie było złośliwych figli i żadnych złych wymysłów. W maju 1939 r. przystąpiłam do sakramentu Pierwszej Komunii Św. Chodziłam do szkoły i normalnie jak inne dzieci się zachowywałam, uczyłam się i pomagałam mamie. Koleżanki i koledzy tak samo, ponieważ byliśmy razem zżyci. Była między nami duża więź.

Wtedy, gdy Niemcy się szykowali na Polskę, między koleżankami mówiłyśmy, że jak wkroczą to na pewno przegrają. Miałyśmy takie błahe myśli, że Niemcy to jest bogaty i zamożny kraj i dlatego muszą przegrać, ponieważ są otyli i niezgrabni. Naród taki, co ma wszystko pod względem materialnym nie jest w stanie zabrać naszej Polski. Niestety okazało się co innego. W krótkim czasie po Polsce zaczęły latać samoloty i bombardować cały Kraj. Pewnego dnia goniąc krowę i będąc przy polu z tatarką, która była już ścięta i związana w takie kuczki, które z lotu ptaka mogły wyglądać jak ludzie zobaczyłam nadlatujący samolot niemiecki. Zaczął do mnie strzelać, a raczej w te małe kopki, które chyba pilot wziął za żołnierzy. Schowałam się właśnie w tę tatarkę. Krowka pognęła do domu, bo już dobrze знаła drogę i było blisko od domu (ok. 50 m). Jak samolot odleciał, wtedy dopiero wyszłam z tej tataraki i czym prędzej pobiegłam do domu.

Od tej chwili zaczęłam bać się wojny i poważniej myśleć o tym wszystkim. To, co my wcześniej myśleli o wojnie to były tylko takie dziecięce, infantylne myśli.

Później po kilku tam dniach Niemcy wkroczyli. Byłam wtedy w domu u Stępników. Była tam również moja mama i siostra. Pracowałyśmy u nich na gospodarstwie. Stałam przy oknie na takiej dużej ławie nazywanej ślubaną. W pewnej chwili popatrzyłam przez okno i zobaczyłam wojsko, żołnierzy. Wcześniej widziałam polskich mundurowych, a oni mieli inne mundury. Poza tym nasz wujek Piotr Nowosielski. Przestraszyłam się. Zaczęłam krzyczeć: patrzcie, patrzcie Niemcy przyszli. Pani Stępnikowa wsadzała chleb do pieca, wsadziła ostatni bochenek do pieca i zemdląła. Później ten dziadzius, Jan Stępień tak samo. Na ich podwórku było bardzo dużo uciekinierów z Krakowa. To wszystko się poruszyło, zrobił się szum i duży harmider. Chleby się w piecu piekły, a ja razem z Emilką Stępnikową wynosiłyśmy wartościowe *rzeczy* na taką stertę przed dom a dokładnie na łąkę Cibickich. Wszyscy pomdleli. Był wrzask, szum, pisk i płacz. Wynosiłyśmy te walizki, które Stępnikowie mieli do ślubu i ledwo co przekroczyłyśmy progi tego domu, zaraz zawalił się ganek. Dzięki Bogu, że byliśmy już wszyscy na zewnątrz, bo byśmy zostali w tym domu na zawsze.

Atak był bardzo duży. Stępnikowie mieli tam takie duże połacie kukurydzy. Niemcy strzelali w tą kukurydzę z samolotów. Chyba ta kukurydza wyglądała z góry jak żołnierze. Uciekinierzy zmykali z niej co sił, tam, gdzie pieprz rośnie. Był straszny zgiełk. Nie do opisanego incydent. Druga bitwa odgrywała się w okolicach cmentarza, bo tam stało wojsko. To byli chyba ułani, bo było tam dużo koni, ale były też auta. Ta ulica koło cmentarza była zaścielona tymi migrującymi ludźmi, uciekinierami z różnymi tobołkami. Było ich bardzo dużo. Szli całymi rodzinami, młodzi i starzy.

Mężczyzn i chłopców Niemcy zgromadzili w jednym miejscu. Przeżywałyśmy to jako dzieci strasznie. Pomału jakoś się dochodziło do siebie. Modliło się dużo. Na pytanie jakie wrażenie wywarli na mnie Niemcy mogę odpowiedzieć, no cóż ja wtedy tego wszystkiego nie rozumiałam. Polska została napadnięta i to już samo źle o nich świadczy, może nie o zwykłym, szeregowym żołnierzu, bo on tylko wykonuje rozkazy przełożonych, ale przede wszystkim do rządu, do Hitlera i spółki. Oni tak zdecydowali i tak się musiało dziać.

W komórce były duże sterty zboża (już zniwa były zakończone) i to bardzo długo się dopalało. Po kilku dniach od daty 9 września, moja siostra, która teraz mieszka w Krakowie nie opacznie weszła nóżką w to tłące się zboże i bardzo sparzyła sobie stopę aż po kostkę. Strasznie cierpiała i okropnie płakała. Nie miał kto udzielić jej pomocy, aby jej ulżyć w bólu. Kiedyś przyszedł niemiecki żołnierz, taki Ślązak po mleko. Mama poszła do stajni i przyniosła mu tyle mleka, ile zdołała udoić. Siostra wtedy zaczęła bardzo płakać. Spytał się jej dlaczego płacze. Mama powiedziała, że ona płacze ponieważ bardzo poparzyła sobie nogę i z powodu okropnego bólu nawet nie może chodzić. Odparł, że idzie do stacji medycznej i jak coś znajdzie, jakiś specyfik na oparzenia, żeby uśmierzyć ból i przyspieszyć gojenie to go przez kogoś na

pewno poda. Mówił, że sam nie będzie go mógł przynieść, ponieważ musi już odjeżdżać. Poszedł i za chwilę przysłał taką Białkówkę, siostrzenicę Stępnów i przyniosła tę maść. Siostrzyczka kilka dni używała jej używała i noga wygoiła się szybko i bardzo dobrze. I to właśnie dzięki tej maści od żołnierza. Jak on się nazywał to ja już nie wiem.

Za chlebusem trzeba było stać. Był na kartki. I ewentualnie marmoladka była. Czas okupacji był ciężki. My musieliśmy oddawać wszystkie mleko od krowy Niemcom. W przypadku, gdy krowa źle się doiła to nawet trzeba było od kogoś pożyczać, dolewać do własnego i odnosić do punktu. Pieniądze się szanowało. Trzeba było podatek zapłacić. Jak się miało buty, to trzeba było w nich chodzić 2 - 3 lata. Zresztą były to buty porządne, skórkowe. Nie obgniatały, ani noga nie pociła się. Mama musiała bardzo dobrze rozplanowywać budżet domowy i z niezwykłą konsekwencją. Mówiła: te pieniądze przeznaczamy na to, a te na to. Przecież musiało na wszystko wystarczyć. W domu było mleko, ser i śmietana. Dokupywało się tylko to, co jest konieczne. Myśmy wtedy nie mieli pragnienia marcepanów, chociaż każdy rodzic chciał dla swojego dziecka jak najlepiej. Był inny stosunek do otoczenia. Teraz jest zgoła inaczej, nikt nie zna problemów drugich. Każdy zajmuje się tylko sobą w pogoni za pieniędzmi, sławą i przyjemnościami. Bliźniemu nie poświęcamy odpowiednio dużo czasu. Telewizja niestety nie jest sojusznikiem rodziny, niestety nie kształtuje dobrosąsiedzkich stosunków. Chodziłam jeszcze do szkoły, ale to już nie była dobra nauka. To był okres trudny i do życia i do nauki. Każdy musiał sobie radzić jak mógł. Każdy miał kawałeczek tego pola i ogrodu. Sadził, siał, rznął... Trzeba było oddawać kontyngenty zboża i ziemniaków, zresztą inne plony też rekwirovano. Wszystko co tam rosło na danym polu. Pomiędzy ludźmi, sąsiadami, w rodzinie była zgoda i współpraca. Każdy starał się drugiemu pomóc i jeden drugiego szanował, jeden drugiemu pomagał. Ludzie się szanowali, bardzo się szanowali.

Jeżeli chodzi o tych żołnierzy, którzy stacjonowali w Kolbuszowej to też osobiście nam krzywdy nie wyrządzili. Nic złego nie mogę powiedzieć. Ja nie rozumiałam spraw politycznych, ani wojskowych. Jeżeli ktoś nie robił drugiemu krzywdy, to nie czułam do niego wstrętu. Chociaż zdarzały się wypadki, że kogoś postrzelili. Goja wtedy rozumiałam? Powtarzałam tylko to, co ludzie mówili. Na ulicy Krakowskiej zginęli chłopcy: Józef Kret, Starzec i Wroński. W pobliżu cmentarza żydowskiego bawili się jakimś granatem i eksplodował.

W czasie wojny, jak wkraczali sowieci Niemcy uciekali. Nasz sąsiad Tadeusz Nowosielski był w rynku, poszedł do sklepu i wracał do domu. Zdziwiony nie zastał nikogo, bo wszyscy puciekali. W budynku gospodarczym mieli dużą stertę zboża i właśnie tam się ukrył. Nie wychodził, ponieważ na tym podwórzu była radiostacja niemiecka, jakby go sowieci zobaczyli, mogliby go uznać za Niemca i zastrzelić.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stapor*